

Ruch #MeToo i zdrada kobiet

Większość tego, o co walczyły feministki pierwszej fali, zostało osiągnięte. I teraz nagle kobiety – te wszystkie, które po latach przypominają sobie rękę na kolanie – zachowują się, jakby ta walka w ogóle się nie odbyła: jak słabe, kruche, bezbronne, bezsilne, bezradne, nieskończenie wrażliwe króliki, potrzebujące ochrony i opieki – pisze Agnieszka Kołakowska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Résumé 2017

Nie będę pisać o Brexit. Ani o Trumpie. Dochodzi do mnie echo wielkiego zbiorowego oddechu ulgi ze strony znudzonych i przedświątecznie wycieńczonych czytelników. Wszyscy (włącznie ze mną) chyba już mają tego wszystkiego szczerze dosyć. Nie będę też (tym bardziej) pisać o zjawisku Trump-Brexit-PiS, które – w mierze, w jakiej miałoby być zjawiskiem groźnie rozprzestrzeniającego się populizmu, ksenofobii, cenzury, faszyzmu, upadku demokracji itd., itd. – nie jest w ogóle zjawiskiem, a w mierze, w jakim nim jest, nie wiadomo, na czym polega. Populizm? Trzeba by się wpierw zastanowić, co to. Nie jest to wcale łatwe. I też niewiele w końcu z takiego zastanawiania się wynika. W przypadku Brexit, na przykład, ostatnie sondaże po raz kolejny potwierdziły to, co głosujący za Brexit od dawna świetnie wiedzieli: że, mianowicie, chodzi głównie o suwerenność, nie o imigrację; i że w mierze, w jakiej o imigrację chodzi, chodzi o jej kontrolę bardziej niż o jej zmniejszenie; i że w mierze, w jakiej chodzi o jej zmniejszenie, nie chodzi o całkowite jej zablokowanie. Nie chodzi też ani o rasę, ani o religię, lecz o wprowadzenie kryteriów, związanych

z kwalifikacjami i propozycjami pracy. Nie ma to wszystko nic wspólnego z populizmem (w mierze, w jakiej w ogóle można w danym wypadku dociec, co jest, a co nie jest z populizmem związane i co takie powiązanie właściwie znaczy).

Zostawmy więc populizm. Nie będę też pisać o oświadczeniu Trumpa, że Jerozolima jest stolicą Izraela, bo było ono po prostu afirmacją pewnego faktu: Jerozolima faktycznie jest i od prawie trzech tysięcy była stolicą Izraela. Zaprzeczenie temu nie jest wyrazem troski o los Palestyńczyków, raczej wyrazem niemożności pogodzenia się z faktem, że Żydzi mają swój kraj. Jest, innymi słowy, wyrazem antysemityzmu. I po całym roku, podczas którego Palestyńczycy skutecznie forsowali w ONZ kłamstwa o Jerozolimie, o osiedlach i o Kopule na Skale, twierdząc, że te miejsca i ziemie zawsze były muzułmańskie i z Żydami nic nigdy nie miały wspólnego, i nikt słowem nie pisnął, bardzo dobrze, że ktoś w końcu postanowił, iż pora się temu przeciwstawić. Tyle, pokrótce, o tym.

Zmarnowawszy w ten sposób sporą część moich cennych znaków na wątki, których nie mam zamiaru rozwijać, przechodzę wreszcie do tematu, na który chcę coś powiedzieć, mianowicie do narastającego i już międzynarodowego ruchu #MeToo („ja też”). Który zaczął się od rewelacji na temat Harvey Weinsteina, po czym posypała się lawina oskarżeń od kobiet, które nagle przypomniały sobie, że 30 lat temu ktoś położył im rękę na kolanie albo pogłaskał po nodze, albo że redaktor pisma, w którym pracowały, znęcał się nad nimi w sposób bestialski, każąc im oglądać „erotyczne” rzeźby i obrazy w albumie sztuki. I zdały sobie nagle sprawę, że incydent ten spowodował niezmasalną traumę czy wręcz zrujnował im życie. I biedaczki, kruche, wrażliwe, niezdolne unieść tego ciężaru, niezdolne też najwyraźniej powiedzieć

mężczyźnie, żeby trzymał łapy przy sobie, co chwila w nieznośny sposób obrażone czy urażone postrzeganym brakiem szacunku, teraz chcą, żeby ktoś za to zapłacił. Karierą, wyrzuceniem z pracy, ostracyzmem, więzieniem jak się uda.

Oczywiście nie wszystkie przypadki dotyczyły albumów sztuki albo ręki na kolanie. Były gwałty i gwałtowne ataki, prawdziwe przypadki molestowania seksualnego, nadużycia władzy, wykorzystywania kobiet w stanie nietrzeźwym czy wręcz pół-(albo mniej)-przytomnym. Że te rzeczy wychodzą teraz na jaw – świetnie. Że ofiary takich ataków przez lata o nich milczały – to też zrozumiałe, jeśli były podwładne i bały się wyrzucenia z pracy czy innych reperkusji. W takich wypadkach jest też (prawie) równie zrozumiałe, że ośmieliła je i z czasem coraz bardziej ośmiela lawina publicznych oskarżeń, jaka się posypała po sprawie Weinsteina. Nasuwa się jednak szereg pytań.

*We wszystkich zachodnich
demokracjach mieliśmy
zasadę, że winę się
udowadnia, ale tutaj zasada ta
przestaje działać*

Po pierwsze, jakoś nie słyhać oskarżeń, wymierzonych przeciwko mężczyznom bez władzy. Można się zastanowić, czy to dlatego, że w takich

wypadkach nie warto robić szumu, bo żadna gazeta się tym nie zainteresuje? (To najbardziej cyniczny wariant odpowiedzi.) Czy też dlatego, że w wypadkach, gdzie mężczyzna nie był w pozycji władzy, kobieta, nie mając powodu do obaw, że straci pracę, dała sobie z nim radę (na przykład poprosiła, żeby trzymał łapy przy sobie), albo

natychmiast złożyła na niego skargę? Czy też były takie, ale po prostu dlatego o nich nie słyszymy, że – istotnie, żadna gazeta nie interesuje się nimi?

Po drugie, jakkolwiek wykorzystywanie kobiety w stanie nietrzeźwym jest rodzajem gwałtu i powinno być surowo karane, należy jednak zauważyć, że w tych wypadkach nikt kobiety nie zmuszał, by poszła z mężczyzną do baru i upiła się do nieprzytomności; za to tylko ona jest odpowiedzialna.

Po trzecie, we wszystkich zachodnich demokracjach mieliśmy zasadę, że winę się udowadnia. Ale tutaj zasada ta przestaje działać. Feministki czwartej – czy może już piątej albo szóstej? – fali wygrały: przyjmują za oczywiste, że każdy mężczyzna jest winien z definicji. Tak samo w przypadkach ręki na kolanie, jak w przypadkach gwałtu. Można uznać, że jest to częścią ogólnej, narastającej skłonności do lekceważenia pojęcia dowodu, jaką widzimy w innych kontekstach: w Anglii sędzia nie potrzebuje dowodów, by uznać, że ktoś popełnił „przestępstwo nienawiści”; wystarczy słowo oskarżającego („Ten pan popatrzył na mnie z wyrazem homofobii”). Oskarżony nie ma obrony. Zasada, że ofiara ma rację z definicji, nie ogranicza się do przypadków ofiar należących do dekretowanych przez polityczną poprawność najmodniejszych w danym momencie prześladowanych mniejszości: Europejski Sąd Sprawiedliwości kilka miesięcy temu oświadczył, że sędzia nie musi wymagać dowodów przyczynowości w przypadkach oskarżenia wymierzonego przeciwko lekarzowi lub firmie farmaceutycznej gdy ktoś – na ogół dziecko – zachoruje na coś (bliżej nieokreślonego) w jakiś (bliżej nieokreślony) czas po jakiejś szczepionce. Więc coś jest na rzeczy: zmienia się nasze podejście do pojęcia dowodów, sądów, wymierzania sprawiedliwości. Ale tutaj działa

coś innego: kobiety, i nie tylko skrajne feministki szóstej fali, mówią o „toksycznej męskości”, sugerując, że każdy mężczyzna jest z natury, zawsze i wszędzie, zagrożeniem dla kobiet, dziką bestią, nie zasługującą na normalny proces sprawiedliwości. Kobieta zawsze ma rację; nie wolno tego kwestionować.

Po czwarte – co kilka komentatorów, w tym kobiety, już podkreślało – nadużycie władzy nie ogranicza się do mężczyzn; kobiety też mogą jej nadużywać, wykorzystując swoje kobiece wdzięki, by wspiać się wyżej na szczeblach kariery albo wywierając mniej lub bardziej subtelną, mniej lub bardziej otwarcie seksualną, presję nad swoimi podwładnymi. O tym jednak nie słyszymy, gdy jest mowa o molestowaniu seksualnym: tylko kobieta może być jego ofiarą. (Albo od biedy homoseksualista. Osoba transgender chyba też może być ofiarą, ale jak dotąd – z tajemniczych przyczyn – nie było w tej lawinie oskarżeń głośnych przypadków molestowania takich osób)

Po piąte, wraz z lawiną oskarżeń i natychmiastowych wyrzuceń z pracy, gwałtownych i definitywnych końców kariery itd., bez procesu, bez dociekań, bez dowodów, następuje cenzura i wymazywanie z historii w sowieckim stylu: wycofuje się z kin i z telewizji filmy, w których oskarżone osoby występują. Stare i nowe (filmy, nie osoby). Zrobiono niedawno nową serię telewizyjną z aktorem Kevinem Spacey (oto jeden z rzadkich jak dotąd przypadków oskarżonego o molestację seksualną homoseksualisty); wycofano ją. Podobnych przypadków był już cały szereg. Czy więc znikną z obiegu filmy wszystkich oskarżonych o molestowanie seksualne, aktorów i reżyserów? A jeśli tak, to co z książkami? Dlaczego autorów mielibyśmy traktować ulgowo? Już od kilku lat studenci – na razie tylko w Anglii i w Ameryce, ale to już obejmuje sporą liczbę uniwersytetów, w tym większość najlepszych na

świecie – domagają się cenzurowania książek, zdejmowania obrazów, burzenia pomników napisanych, namalowanych, rzeźbionych przez ludzi związanych z rasizmem, kolonializmem, niewolnictwem – z czymkolwiek, co im się nie podoba. Wydaje się, że naturą rzeczy autorzy, na których ciąży oskarżenia o molestowanie seksualne czy którzy są lub byli z tego znani, też powinni zostać wymazani z historii. A potem chyba nieuniknione będzie wycofanie ze sprzedaży i z bibliotek książek palaczy, książek pisarzy, którzy nie wierzą w globalne ocieplenie... I w końcu, gdyby wygrały feministki szóstej fali, wszystkich książki napisanych przez mężczyzn.

*Czy znikną z obiegu filmy
wszystkich oskarżonych o
molestowanie seksualne,
aktorów i reżyserów?*

Ale zostawmy
orwellowski świat
uniwersytetów, bo
nie o nich to miało
być, i wróćmy do
kobiet. Nikt z nas
chyba nie chce

wrócić do świata, w którym sędzia mówi, że kobieta w krótkiej spódniczce jest sama sobie winna, jeśli została zgwałcona, lekarz rozmawia z jej mężem zamiast z nią, a mąż jest od tego, żeby dostarczać ochrony w zamian za posłuszeństwo. Dziś w zachodnich demokracjach prawa kobiet są – w mniejszym lub większym stopniu – zapewnione. Gdzienigdzie trwa walka o równość płac, ale w wielu miejscach została wygrana. Większość tego, o co walczyły feministki pierwszej fali, zostało osiągnięte. I teraz nagle kobiety – te wszystkie, które po latach przypominają sobie rękę na kolanie – zachowują się, jakby ta walka w ogóle się nie odbyła: jak słabe, kruche, bezbronne, bezsilne, bezradne, nieskończenie wrażliwe króliki, potrzebujące ochrony i opieki. Podobnie, jak studenci (przepraszam, znów do nich wracam, ale te zjawiska są chyba powiązane), domagający się cenzury i

ochrony przed treściami i ideami, które mogłyby ich urazić, zaszokować, czy tylko zastanowić – słowem, przed niezależnym myśleniem. To jest zdrada kobiet – zdrada tego, o co przez ponad pół wieku walczyły. Chciały równości z mężczyznami, mówiły: jesteśmy silne i zdolne do wszystkiego; ale nagle żyją w przerażeniu, że mężczyzna w każdej chwili może zrobić im krzywdę. Bo każdy mężczyzna jest „toksyczny”. I jednocześnie chcą zemsty – jak rozzłoszczone dzieci. Tu jest jakaś podstawowa sprzeczność i konfuzja, jakieś straszne pomieszanie, z którego trzeba będzie wybrnąć, byśmy wszyscy, kobiety i mężczyźni, mogli normalnie żyć w normalnym społeczeństwie, w stosunkach wzajemnego szacunku. Powinien wystarczyć zdrowy rozsądek, ale w obliczu jego wyraźnego braku trudno przewidzieć, jak to wszystko się skończy.